

Wirus absurdu szaleje

30 stycznia 2021

Minister zdrowia ogłosił, że restauracje, hotele, siłownie będą zamknięte do połowy lutego. Dzień wcześniej ważny urzędnik rządowy stwierdził w wywiadzie radiowym, że otwarcie tych branż nastąpi dopiero w maju. Właściciele wspomnianych placówek, podobnie jak żyjący z pracy w licznych innych branżach, nie znajdują wytłumaczenia dla takiej blokady.

Gastronomik z Sopotu mówi wprost: może wytrzymamy do marca, w maju nie będzie już czego otwierać... Wciąż powraca anegdotyczne wręcz pytanie: dlaczego można dziś sprzedawać meble a nie można majtek? Covid-19 ginie w basenach, ale nie w rozporządzeniach.

Dziennikarze wszelkich mediów, niemal codziennie przytaczają przykłady rozporządzeń rządu, które są kompletnie niezrozumiałe, ocierają się o granice absurdu. Zakaz działania mają obiekty sportowe i rekreacyjne, czyli wszystkie te, które jako główny kod działalności wpisały sobie PKD (Polska Klasyfikacja Działalności) zaczynający się od liczby 93.

Nie mogą też funkcjonować firmy zajmujące się usługami poprawy kondycji fizycznej, czyli te z kodem 96.04, m.in. solaria i sauny. Jak uzasadnić, dlaczego studia tatuażu mogą działać, a salony masażu i solaria już nie. Tym bardziej, że te ostatnie, jak się okazało, dostały pozytywną opinię w zleconym przez Główny Inspektorat Sanitarny (GIS) badaniu.

To fascynująca ciekawostka. Poważana specjalistka (pracująca na zlecenie GIS) oceniła, że zarażenie wirusem w solariach jest niewielkie, ale jej sugestie utajniono. A po trzech miesiącach GIS uznał je za ... nie aktualne. Oczywiście w tym czasie wspomniane zakłady były zamknięte. Ilu przedsiębiorców to dotyczy? Pod kodem PKD 96.04 działa obecnie 66,5 tysięcy firm, czyli aż 1,4 proc. wszystkich podmiotów gospodarczych

(co 70. firma) w Polsce. Frajerstwo ich właścicieli polegało na tym, że nie zarejestrowali się jako „gabinet kosmetyczny z solarium” – takich nie zamknięto. Dziś oceniają: to jakaś paranoja.

Dziennikarze pytali w resorcie zdrowia; dlaczego nie uwzględniono fachowych opinii specjalistki w sprawie solariów. Resort odesłał do GIS, a szef tej instytucji stwierdził: decyduje Rada Ministrów. My naiwnie myśleliśmy, że najważniejszy głos mają lekarze...

W maju na zlecenie GIS dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego napisał, że nie wykazano, by wirus przenosił się przez wodę w basenach. Dodatkowo w opinii widnieje, że koronawirus nie jest odporny na czynniki dezynfekcyjne, m.in. chlor, powszechnie stosowany w dezynfekcji wody w basenach publicznych. No i co z tego – od 17 października ubiegłego roku baseny są niedostępne.

Zrzeszenie właścicieli zamkniętych stoków narciarskich obliczają straty na 5 milionów złotych dziennie (nie licząc strat pomniejszych, niezrzeszonych operatorów kolejek i stoków). W Zakopanem pytają: jak to jest, że państwowe Polskie Koleje Linowe ciągle wożą turystów na Kasprowy Wierch czy Gubałówkę. W wagonikach ścisnięci jak sardynki w puszce jednak nie mogą po wyjściu zapiąć nart i w przepisowej (co przecież oczywiste) odległości zjechać na dół? To nielogiczne, bez sensu – mówią, to niszczenie prywatnego biznesu, ale też gospodarki.

A jednak nie mają racji. Nie w tym sensie, że rząd absurdalnymi, co chwila zmienianymi regulacjami, wynikającymi z niewiedzy lub lenistwa urzędników, prowadzi do katastrofy wielu branż i ludzi – bo to widać gołym okiem. Nie mają racji ponieważ nie zajrzeli do przepisów wymyślonych kilkadziesiąt lat temu. A tam stoi, że oni zarządzają „stokami narciarskimi” zlokalizowanymi w gminach górskich powyżej 500 metrów powyżej poziomu morza. I dlatego nie mogą tam wpuszczać narciarzy, ale

mogą, w przyszłości, oczekiwać minimalnej rekompensaty na otarcie łez.

W 2011 roku wprowadzono klasyfikację „zorganizowanego terenu narciarskiego”, który przecież „stokiem” nie jest. Wyczytał to w przepisach pewien facet z Chrzanowa zarządzający sporą górką. Leży ona tylko 300 metrów n.p.m. więc żadne dotacje rządowe na ewentualnie zamknięty wyciąg narciarski tutaj nie należą się. Ale za to narciarze mogą szusować i wspomagać finansowo otwarty ośrodek. Policja obserwuje zakładanie maseczek, a sanepid myśli, jaki by tu zastosować paragraf.

Przez lata było tak, że jak sprowadziłeś samochód z zagranicy, albo kupiłeś od kolegi to miałeś obowiązek przerejestrować go w ciągu miesiąca. Niby drobiazg, trzeba było tylko wybrać się do urzędu i sprawę załatwić. W urzędach zawsze była kolejka więc ani kierowcy, ani panie w okienkach nie przejmowali się zwłoką. Ale porządek musi być – jak to się kiedyś mówiło – nawet w straży pożarnej.

Od początku ubiegłego roku władza zaczęła straszyć mandatami i ludzie ruszyli do urzędów rejestracyjnych. Niestety pokazał się wirus i rządzący musieli zrezygnować ze straszenia i wydłużyli obowiązek rejestracji pojazdu – do pół roku. A władzę to bolało (stosowne opłaty wolno wpływały). Laba skończyła się z początkiem tego roku i zaczęło się pandemonium (nie mylić z pandemią). Kierowcy masowo (czytając o grożących nieuchronnych karach) wybrali się do urzędów. Ale przecież te – nie z gumy. Tu chodzi o 3 miliony klientów rocznie.

Z dziennikarskich badań wynika, że w ponad połowie wydziałów komunikacji w całym kraju termin oczekiwania na rejestrację samochodu jest dłuższy, niż wynika z obowiązku nałożonego przez ustawodawcę. Rekordzistami są Piła i Rybnik, gdzie na spotkanie w urzędzie trzeba czekać odpowiednio 60 i 57 dni. Podane powyżej terminy obowiązują w przypadku rezerwacji wizyty przez internet – do czego namawiają władze. No i tu rodzi się zasadne pytanie: czy petent wraz z dokumentem

rejestracyjnym dostanie mandat w wysokości 1000 złotych –
wszak nie dotrzymał rządowego terminu 30 dni?

Bardziej przestraszeni wstają przed świtem aby zdążyć do
urzędu (często przecież odległego od małej miejscowości o
kilkadziesiąt kilometrów). A tu siurpryza – wszystkie numerki
do okienka na ten dzień już rozdane. Pomoc przychodzi od
życzliwego „konika” (ogłoszenia o takich usługach można
znaleźć w internecie) – za 200 złotych wykonają pracę za
ciebie. Urzędnicy wiedzą o tym procederze i blokują
rejestrowanie kilku samochodów przez jednego delikwenta. Tylko
co mają zrobić właściciele komisów, którzy muszą zarejestrować
kilka pojazdów? Stać parę godzin na mrozie przed urzędem, bo
salka mała a obowiązuje „dystans społeczny”?

Fachowcy rynku samochodowego postulują przywrócenie
półrocznego moratorium na zgłoszenie rejestracji, bo przecież
nie można liczyć na zwiększenie obsady personalnej w urzędach
– rząd zabronił takich pomysłów w tym roku. Tylko czy ktoś
tego słucha?

Autorstwo: Marek Kownacki

Źródło: pl.SputnikNews.com